Rok III 7 czerwca 1931 Nr. 23

DZWONECZEK

BEZPŁATNY DODATEK TYGOD. DO „DZWONU NIEDZIELNEGO" Nr. 23

Boże Ciało

O, jak ja kocham Cię, Boże Ciało,
Coś się oddało za nas na krzyż,
Jakby me serce posiąść Cię chciało,
Jak wzrok ku Tobie podnoszę
[wzwyż!

Ozdobę ziemi, tych kwiatków krocie,
Ślę Ci, o Jezu, pod stopy Twe,
Kocham Cię, Chryste w tym słońca
[złocie
I coraz bardziej kochać Cię chcę;

O niezabudki, róże, powoje,
Do Chrystusowych ścielcie się nóg,
Jemu oddaję serduszko moje,
Bo On mój Zbawca, mój Pan i Bóg.

P. W.



Procesje

Nadszedł radosny dzień Bożego Ciała. Cała Polska śpieszy oddać należny hołd i cześć Bogu, Utajonemu w Przenajświętszej Hostji.

Wszyscy katolicy czczą Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie; w każdym katolickim kraju odbywają się procesje w ten uroczysty dzień Bożego Ciała, ale nigdzie tych procesyj niema tyle, co u nas. Wiecie bowiem, że przez cały tydzień, t. j. jak w tym roku od 4-go czerwca do 11-go czerwca będą codziennie procesje z coraz to innego kościoła. Słusznem jest, że kościół w Polsce chce w szczególnie uroczysty sposób czcić Boga Syna; ale jakże mało widzi się ludzi, idących za procesją. Zazwyczaj idzie parę bractw, trochę babek kościelnych, parę gapiów — ot i wszystko. A przecie na czele procesji kroczy Sam Pan Jezus! Jemu towarzyszy ta garstka wiernych, Jego chce wyznać publicznie, od Niego błogosławieństwo otrzymać.

Dawno temu, kiedy Pan Jezus jeszcze żył na ziemi i chodził po Galilei nauczając, to tłumy do Niego się cisnęły! Przychodzono całemi rodzinami i słuchano nauk, padających z Jego Boskich ust.

Dziś Pan Jezus, idąc ulicami naszych miast, nie uczy głośno, ale każdy, kto mu towarzyszy z wiarą i pobożnością, odnosi owoc w duszy, wraca do domu wzbogacony łaskami.

Spróbujcie, dzieci, pójść kiedy na jedną lub drugą procesję; ale idźcie za Chrystusem, w tłumie. Idąc módlcie się z książeczki, na różańcu, lub śpiewajcie pobożne pieśni. Niech wam towarzyszy myśl, że idąc tak za Panem Jezusem — idziecie wraz z apostołami, ażeby usłyszeć Boską naukę. Wyobraźcie sobie którąś ze scen z Nowego Testamentu, z okresu nauczania przez P. Jezusa i niech wam się zdaje, że wy idziecie z tymi ludźmi.

Takie myśli i wyobrażenia ułatwią wam skupienie; odniesiecie dużą korzyść, bo Pan Jezus o was w tłumie nie zapomni. Podejdzie może niewidzialny właśnie do was, i do waszego serca powie słodko: „Synu, daj mi serce twoje". Albo też, błogosławiąc was z ołtarza, rzeknie wam: „Iżeś się mnie nie zaparł przed ludźmi, to i ja nie zaprę się ciebie w dzień sądu!"

Spieszcie więc, dzieci, o ile wam czas pozwoli, na procesję, oddawajcie publiczną cześć Bogu waszemu, którego imię tak bardzo jest teraz na świecie poniewierane. Wynagrodzić starajcie się Panu Jezusowi te straszne, niepojęte zniewagi, które już nie tylko w okropnej Rosji, ale i w Hiszpanji cierpi. Niech wasze dziecięce dusze pośpieszą wynagrodzić wiarą — brak wiary innych; miłością — nienawiść okazywaną Bogu, a napełni was Bóg łaską i światłem i pobłogosławi we wszystkiem. *E.*

O liściach

Skończył się maj. Wszystko się zazieleniło cudownie. Trawy okryły ziemię zielonym kobiercem, drzewa ustroiły się w zielony płaszcz z liści; o nich to pomówimy dziś trochę.

Każda część rośliny, jak każda część ciała ludzkiego, czy zwierzęcego ma jakieś zadanie do spełnienia. Korzeń przytwierdza roślinę do ziemi, by się mocno trzymała, i by z jego pomocą czerpała z niej wodę i różne sole, w ziemi zawarte, bez których żadna roślina żyć nie może. Łodyga lub pień mają w sobie liczne rurki, któremi płyną różne soki pobrane z ziemi, w kierunku od korzenia do liści. Kwiat służy do wytworzenia nasienia, a liść? Liść, podobnie jak usta u człowieka, służy do pobierania pokarmu i jest zarazem jakby żołądkiem rośliny, bo przerabia w sobie ten pokarm. Jaki to pokarm i skąd liść może go pobierać? — spytacie — i czem, kiedy niema przecie buzi?

Otóż pokarm pobiera on z powietrza. Wam się może zdaje, że powietrza nie można jeść, bo ono nic w sobie niema, ale tak nie jest. Powietrze, którem oddychamy, jest mieszaniną różnych gazów, potrzebnych nam i roślinom do życia. Otóż w powietrzu jest jeden gaz, nam nie potrzebny, który my wydychamy z siebie, a który też wytwarza się przy gniciu różnych ciał, nazywa się on „dwutlenkiem węgla", to znaczy, że składa się z tlenu i węgla. Gaz ten najlepiej poczujecie, gdy długo będziecie w izbie zamkniętej, gdzie jest dużo ludzi. Czasem może się od niego aż słabo zrobić; mówimy wtedy zwykle, że w izbie jest „zaduch". Otóż ten gaz, który ludzie wydychają, wchłaniają w siebie liście przez tak zwane s z p a r k i, które znajdują się na spodniej stronie liści. Wchłaniają one w siebie z powietrza ten

gaz, który ludzie i zwierzęta wydychają i zużytkowują go na swój pokarm. Dzieje się to w ten sposób, że, znajdujące się w blaszce liścia malutkie ciałka zieleni zabierają z tego gazu, który przez szparki do wnętrza liścia się dostał, węgiel, a tlen, który im nie jest wtedy potrzebny, oddają z powrotem do powietrza. W ten sposób odświeżają powietrze. Tak to Bóg cudownie sprawił, że rośliny pochłaniają masy gazu szkodliwego ludziom, a wydzielają tę część jego, która nam do życia potrzebna, t. j. tlen. Dlatego to wśród drzew takie jest miłe i dobre powietrze, dlatego to starać powinniśmy się o sadzenie drzew liściastych przy naszych domach, szczególnie w miastach, gdzie powietrze jest złe na ogół. Dlatego też hodować przynajmniej rośliny doniczkowe w pokojach, bo i one odświeżają powietrze.

Dziwi was, że to, co rośliny biorą z powietrza, nazywa się węgiel, tak samo, jak ten węgiel czarny i twardy, którym palimy. Ale spalcie kawałek drzewa, cóż otrzymacie? Węgiel. Otóż węgiel właściwie jest taka rzecz, zwana pierwiastkiem, która stanowi część i to największą wszystkich organizmów (ciał) żywych, a więc i roślin. Roślina potrzebuje go koniecznie do swej budowy, przerabia go w liściach na mąkę i rozsyła po wszystkich swoich częściach, od korzeni aż do wierzchołka. Zasilona tą mączką roślina rośnie i rozwija się.

Tę zdolność zbierania z powietrza węgla i przemieniania go na mąkę mają tylko liście, a właściwie małe ciałka zieleni, t. j. takie małe, zielone kuleczki, dzięki którym cały liść ma barwę zieloną. Ponieważ drzewa potrzebują bardzo dużo mąki do odżywiania się, więc dlatego taka masa liści jest na nich. Ale ta czynność pobierania węgla, co się nazywa p r z y s w a j a n i e m, nie zawsze może się odbywać, ale jedynie w dzień na świetle słonecznem. Dlatego to liście tak szukają światła, dlatego tak się garną i obracają ku niemu, dlatego mają kształt taki różnie powykrawany i tak różnorodnie są porozstawiane na załązkach, żeby to światło ze wszystkich stron miało do nich dostęp. W nocy zaś to pobieranie pokarmu i ta przemiana zupełnie się nie odbywa, listki odpoczywają po całodziennej pracy. Szparki w liściach mają jeszcze inne gadanie, niż samo przyswajanie. Liście szpareczkami wydalają wodę, czyli pocą się. Z roślin wyparowuje woda pobrana przez korzenie; wędruje ona przez łodygę, a dostawszy się do szparek w liściach wyparowuje, pozostawiając roślinie te sole mineralne, które były w wodzie zawarte; roślinie przybywa więc stężony pokarm. Na miejsce wyparowanej wody, może roślina przyjąć nową, z nowym zapasem soli. W ten sposób odbywa się w roślinie krążenie soków. Parowanie wody przez liście nie zawsze jest jednakowe. Rośliny o liściach szerokich oddają przez parowanie więcej wody, niż rośliny mające blaszki wąskie, o małej powierzchni. Tak samo przy ciepłem powietrzu, w upały n. p. parowanie zwiększa się, a im więcej jest wilgoci w powietrzu, tem parowanie jest mniejsze.

Ażeby wam dać pojęcie, ile wody rośliny wyparowują, przytoczyć mogę na przykład brzozę. Doświadczenie pokazało, że duża brzoza wypaca 400 litrów na dobę.

Wreszcie szparki w liściach służą do o d d y c h a n i a roślin. Odbywa się ono nie tylko za pomocą szparek, ale przez całe nadziemne ciało, zarówno w dzień, jak i w nocy. Najsilniej oddychają kiełkujące nasiona. Przy oddychaniu wytwarza się w roślinie ciepło.

Praca liści trwa całe lato. Przygotowana przez nie z wegla mączka jest nietylko pokarmem codziennym dla rośliny, ale też bywa przez nią gromadzona jako zapasy na zimę, z których to zapasów rozwiną się z następną

wiosną nowe roślinki. Do wykonywania tej roboty potrzebne jest też ciepło odpowiednie, najlepsze takie, jakie panuje u nas w dni wiosenne i letnie.

Kiedy zaś przyjdzie chłodna i słotna jesień, dni stają się krótkie, wtedy listeczki wysyłają do pnia i łodyg resztę pokarmów, ciałka zielone w nich nikną, one same żółkną, obumierają i spadają na ziemię, bo już spełniły swoje zadanie. *St. E.*

Zofja S. Poreyko.

Wiosenny grom

Nigdy w życiu nie było Marynce tak ciężko okrutnie, nigdy tak źle i nieswojo. Już pół godziny jak się obudziła, a jednak nie zeskoczyła tak prędko, jak zwykle z łóżka... nie widziała tej wiosennej, świeżej radości, która była w zalanej światłem izbie, w sadzie tonącym w słońcu, który widny był przez czyste szybki okna, gdzie grusze i jabłonie kwitły biało i różowo, a drzewa zieleniały w pąkach.

Nic nie widziała Marynka. Nie myślała nawet, jak zwykle, co będzie robić przez dzień cały. Zaciężył nad nią smutek wielki, wkradł się do serca i piekł niemiłosiernie.

— Żeby to obca mi dokuczyła, — myślała — ale swoja Jagusia, przecież razem z nią rosłam, bawiłam się, uczyłam w szkole, razem teraz chodzimy do Stowarzyszenia, przecież jak siostra mi jest... I oto ona uwierzyła ludzkiemu posądzeniu, ludzkiej złośliwej mowie, żem cudzą rzecz wzięła, mój Boże...

Jakże mogła ją obca z drugiej wsi posądzić, jakże mogła, najmniejszego nie miała na to dowodu... Nie obca jednak, ale Jagusia — swoja, która tej obcej uwierzyła i powtórzyła to samo Marynce. Marynka widzi jeszcze jej twarz, tak zwykle miłą, taką inną niż zwykle, zimną i pogardliwą. Widzi tę twarz i oto łzy zaczynają jej napływać do oczu, ciężkie jak ołowiane i coś się łamie w Marynce i boli... boli...

— Marynko, cóż ty nie wstaniesz dzisiaj? — woła matka z drugiej izby.

Głos ten budzi Marynkę z ciężkiego zamyślenia.

— Wstaję, matusiu, zaraz wstaję — mówi.

Zawzięła się Marynka na robotę, by smutek zabić, sprząta, oporządza odzież, koło dobytku chodzi, ale smutno Marynce i źle, oj źle...

Widzi matka, że jej jedynaczka inna jest jakaś niż zwykle, że nie śmieje się, nie śpiewa, że tak poważna i nieswoja...

— Co ci to, Marynko? — pyta.

— Nie mogę powiedzieć, matusiu, nie mogę.

Ucieka Marynka z chaty na podwórze, łzy ją dławią i robi jej się jeszcze ciężej, że się matce poskarżyć nie może. Ale nie chce źle mówić o Jagusi, jeszczeby ją matusia lubić przestała i rozżaliła się na nią na długo, a sama oj, martwiłaby się o takie niesłuszne posądzenie. Więc nie chce Marynka nic mówić, unika nawet wzroku matki, która patrzy na nią troskliwie...

Po południu, gdy Marynka siedziała nad robotą, ni stąd ni zowąd zaczęło się ściemniać, grzmieć, wicher uderzył na mały sad, zatrząsł kwitnącemi drzewami, i otrząsnął sporo kwiecia; ale za kilka minut wszystko ucichło i zaczął padać pachnący, ciepły deszcz majowy. *D. n.*

Anna Kozłowska.

Rycerskie przygody Miłosza

(Ciąg dalszy).

Na Miłoszu ścierpła skóra, gdy posłyszał co z nim mieli zamiar jutro zrobić.

— Szczęście mo˙e, żem się właśnie dzisiejszej nocy mógł wydobyć — myślał. Należało jeszcze tę straż ominąć.

Tu szpak przyszedł mu z pomocą, przeleciawszy bowiem na drugi koniec podwórza, jął się drzeć ile sił: „Ratujcie! ratujcie!“



— A tam co za licho? — zawołali przestraszeni strażnicy, i pobiegli w stronę głosu, gdy tymczasem Miłosz dobiegł pod mur, a wydostawszy się na drzewo obok rosnące, którego konary na drugą zwieszają się stronę, szczęśliwie po nim na ziemię zeskoczył.

Teraz już nie obawiał się niczego, lecz gwizdnąwszy na wiernego szpaka ruszył z nim w drogę. W niedługim czasie zaczęło świtać i po burzliwej nocy nastał prześliczny poranek. Miłosz szedł wciąż naprzód, a gdy się miało ku południowi, wstąpił do jednej z przydrożnych chat i wymienił wygraną swego czasu tarczę na dwa bochenki ciemnego chleba i kubek mleka. Do tego dodała mu jeszcze poczciwa gosposia spory serek. Pokrzepili się obaj z ptakiem do syta, resztę schował jako zapas, do torby.

Miłosz szedł raźno, a za wskazówkami szpaka unikał większych gościńców, słusznie przypuszczając, że go z zamku gonić będą. Gdy

bowiem na zamku spostrzeżono ucieczkę więźnia, puszczono się za nim w pogoń, lecz szczęściem inną obrano drogę.

Droga Miłosza była daleka i bardzo męcząca, trzeba było przechodzić przez wysokie grzbiety górskie, przeskakiwać przez duże rozpadliny, ażeby o ile możności skrócić sobie drogę. Dzielny chłopak zwalczał wszystkie przeszkody, przejęty tylko jedną myślą: ratowania królewny.

Po kilkunastu dniach podróży, przebył już dwanaście gór, pozostała mu jeszcze tylko jedna. Lecz teraz bardzo był wyczerpany forsownym marszem i postanowił u podnóża trzynastej góry trochę wypocząć. W tym celu wybrał dogodne miejsce, a nazbierawszy suchych gałęzi, skrzesał ogień. Po zboczach górskich pasły się dzikie kozy, to też zebrała go wielka ochota coś sobie upolować, tembardziej, że już nic nie miał z zapasu żywności, oprócz małego kawałka chleba. Pomimo zmęczenia ruszył na polowanie i już w niedługim czasie wrócił z małem koźlęciem, z którego skórę obciągnął, a nasadziwszy je na mieczyk, piec począł.

Gdy tak siedział zadumany, wpatrzony w ogień, nagle usłyszał straszny krzyk. Natychmiast rzucił koźlę i pobiegł w stronę skąd głos dochodził. Ze zgrozą zauważył niedźwiedzia, który zawzięcie gonił jakąś staruszkę. Już, już groźne zwierzę miało wpaść na nią, gdy Miłosz celnym strzałem w serce, trupem niedźwiedzia położył, a sam pobiegł ku słaniającej się z wyczerpania staruszce.

— Dzięki ci panie — rzekła — uratowałeś mi życie kiedy już żadnej nie miałam nadziei. Życzę ci przeto — aby wszystko co zamyślasz, dokładnie ci się spełniło.

— Dziękuję — rzekł Miłosz — a teraz proszę w stronę mego ogniska. — Lecz staruszka tak była słaba, że ledwo się na nogach trzymała, wobec tego wziął ją jak dziecko na ręce i przeniósł do ogniska ostrożnie sadzając, poczem zabrał się znów do pieczenie koźlęcia. *C. d. n.*

T. Stafiej.

Na jednej ławie

21) (Ciąg dalszy)

— Zaczekaj, Franku, przeróbmy choć to jedno zadanie, które rozumiem.

Spokój jej i stanowczość podziałały na brata. Zamiast odpowiedzieć jej, jak zwykle: »idź sobie, daj mi święty spokój“, wziął się znowu do rachunków. Po godzinie ślęczenia nad odcyfrowywaniem nabazgranych nieporządnie ołówkiem w szkole zapisków Franka, zdołała Zosia zrozumieć i wytłómaczyć bratu całą ostatnią lekcję.

— Żeby był jeszcze dobry początek tematu, jużby wszystko było — westchnęła w końcu. — A możebyś tak poszedł spytać się tego kolegi, koło którego teraz siedzisz?

— Nigdy! Ja się z nim pogniewałem — wybuchnął Franek. — On myśli, że jest strasznie mądry. Nie lubię takich.

Zosia wiedziała, że Franek jak się raz zatnie, nie da się przekonać, więc westchnęła tylko cichutko i wróciła do przerwanej czynności. Ale ze zdumieniem zobaczyła, że wszystko było już pomyte i poobcierane.

— Któż to skończył tak, że ja nie słyszałam? To ty Kasieńko?

A Kasia śmiała się głośno. Oczy jej błyszczały z radości.

— Udało się, udało — klaskała w dłonie. — To ja myłam, ale cichutko, cichutko, żebyś nie usłyszała i nie obróciła się, bobyś mi powiedziała: zaczekaj! A tymczasem woda byłaby wystygła. A babunia pokazała mi na migi, żeby jej dać do obcierania już do suchego, więc też dałam jej tę czystą ścierkę i podawałam talerze. I udało nam się znakomicie!

— I babunia się męczyła! — rzekła Zosia z wyrzutem.

— Cóż znowu! Tylko się trochę zajęłam robotą, a to dla mnie dobrodziejstwo prawdziwe.

Zosia uściskała siostrzyczkę.

— Ej, ty figlarko! — zaśmiała się. — Zrobiłaś za mnie wszystko! Teraz muszę iść do miasta. Mamusia może dziś przyjdzie i na noc zostanie.

Ubrała się i wyszła. Franek dalej pilnie odrabiał lekcje z innych przedmiotów. „To naprawdę nie jest takie trudne, ani nudne“ — pomyślał zdumiony — najlepiej to, że jutro pewno będę umiał. — I ta myśl sprawiała mu już teraz jakąś radość.

Zosia tymczasem szła do miasta. W głowie jednak ciągle siedziało jej owo zadanie brata. Żebym to ja mogła się od kogo mądrego dowiedzieć coś o niem — myślała. I nagle przyszła jej na myśl pani Sadowska. „Ta pani powiedziała, żebym do niej kiedy przyszła. Ja nie bardzo śmiem, ale gdybym też tak dziś poszła i poprosiła jej syna o pokazanie mi zeszytów rachunkowych“.

Ta myśl nie dawała jej spokoju, gdy załatwiała codzienne drobne sprawunki. Nieśmiałość jej walczyła z chęcią pomożenia bratu. Ale to trzebaby tak zrobić, żeby on się tego nie dowiedział.

Nagle, wszedłszy do jednego sklepu, ujrzała tam panią Sadowską. Zarumieniła się aż z wielkiego wzruszenia i ukłoniła jej się zdaleka.

Pani Sadowska poznała ją i zbliżyła się natychmiast do niej:

— Jak się masz, moja panienko! Dawno nie widziałyśmy się! Myślałam, że przyjdziesz kiedy do mnie.

— Ja chciałam właśnie dziś, jak porobię sprawunki... — odezwała się Zosia nieśmiało.

— I owszem, ja już właśnie wracam.

Załatwiły każda swój sprawunek i wyszły razem.

— Ja szłam do pani z jedną prośbą — powiedziała Zosia cichym głosem.

— Zrobię, co tylko będę mogła, bądź pewna.

— Raczej do syna pani, tego, co koleguje z moim bratem. Chciałam go prosić, by mi pozwolił przejrzeć swój rachunkowy zeszyt.

— To drobnostka. Jeżeli tylko wrócił do domu, bo miał wyjść kupić sobie jakąś książkę, zrobi to z wielką przyjemnością. Oto już nasz domek! Wejdź proszę!

Otwarła drzwi kluczem i weszły razem do przedpokoju. Pani Sadowska wpuściła Zosię do niewielkiego, miło urządzonego pokoju, przeznaczonego na bawialnię.

— Poczekaj tu chwilkę, moje dziecko, ja się dowiem, czy Karolek wrócił.

Zosia została sama. Serce biło jej jakby z niepokoju jakiego. Bała się czegoś, ale nie wiedziała sama czego. W chwilę poźniej weszła pani Sadowska.

— Mojego syna jeszcze niema, ale z pewnością zaraz wróci. Tymczasem zjemy razem podwieczorek.

Wzięła Zosię pod rękę i zaprowadziła ją do drugiego pokoju, gdzie był już stół nakryty.

— To moje córeczki, Marysia i Haneczka, a to dwaj najmłodsi synkowie — przedstawiała. — Siadajmy i pijmy, póki kawa ciepła.

Zosia z początku dziękowała za wszystko, ale pani Sadowska tak ją serdecznie prosiła i nakładała na talerzyk bułki, masła, sera i konfitur doskonałych, że się biedne dziewczątko ośmieliło i jeść poczęło z apetytem. Tak dawno nie jadła takich dobrych rzeczy! A co u nich trafiło się trochę smaczniejszego lub pożywniejszego odstępowała zawsze Kasieńce, Frankowi, wreszcie babuni, sobie zawsze wszystko najgorsze zostawiając. *C. d. n.*

Rozwiązanie zagadek z N-ru 21-go

Rebus: Mowa jest obrazem duszy.
Bilety wizytowe: Amerykanin, Neapolitańczyk, Jugosłowianin.

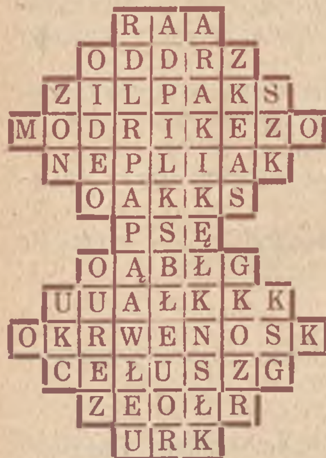
Trafne rozwiazania nadesłali:

M. Friedmann, T. Cieńkosz, J. Machnicka, S. Kijania, Steinfels, Gawłowska, Z. Jędrszczykówna, Stokrótka, J. Pohoska, E. W. i D. Schneikartowie, Żabie Oczko, Szybki Jeleń, Polak, Czarny Sęp, Pilot, Ślizowski, Lilijka, Susz, Cowboy — 6 p.: Jarosiński 5 p., Stefanik, R. Musiał, J. Zgoda, T. Moskwa — 3 p.

Nagrodę wylosowali: *Pohoska* i *Cowboy*.

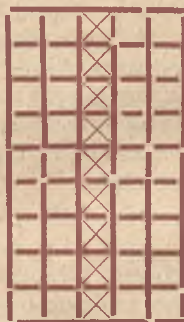
Kącik rozrywkowy

Zagadka (uł. T. Rutkowski — 3 p.).



W każdym rzędzie poprzemieniać tak litery, aby dały nazwy ptaków.

Logogryf (uł. R. M. — 2 p.).



= postać z Pana Tadeusza
= inaczej skała
= gatunek psa
= dowódca arabski
= gatunek nietoperza
= starożytna góra w Grecji
= jest przy każdej mapie
= rzeka w Rosji
= kruszec szlachetny

W podane kratki wstawić wyrazy poziomo, których litery. oznaczone krzyżykami, dadzą nazwę wielkiego święta.

Łamigłówka sylabowa (uł. M. Grodzicki — 2 p.).

Z niżej podanych sylab ułożyć 6 nazw rzek, których litery początkowe dadzą nazwę rzeki polskiej. Sylaby: Na, a, ba, pi, o, po, jec, a, ra, ca, dra, prad, li, du.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Tatrach 2. Rzeka w Niemczech 3. Rzeka w Polsce 4. Rzeka w Tatrach 5. Rzeka w Łotwie 6. Rzeka w Pieninach.

Wychodzi pod redakcją Dr. E. Estreicherowej.
Redaktorka przyjmuje we wtorki i czwartki od 10-12 i w środy od 3-4 (Straszewskiego 18)

Drukarnią „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie, ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.